

Adam Mickiewicz

Lilje

BALLADA

Zbrodnia to niesłychana,

Pani zabija pana.

Zabiwszy grzebie w gaju,

Na łączce przy ruczaju,

Grób liliją zasiewa,

Zasiewając tak śpiewa:

„Rośnij kwiecie wysoko,

Jak pan leży głęboko;

Jak pan leży głęboko,

Tak ty rośnij wysoko”.

Potem cała skrwawiona,

Męża zbójczyni żona,

Bieży przez łąki, przez knieje,
I górą, i dołem, i górą.
Zmrok pada, wietrzyk wieje;
Ciemno, wietrzno, ponuro.
Wrona gdzieniegdzie kracze,
I puhają puhacze.

Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika
Stuk stuk, stuk stuk!

„Kto tam?” Spadła zaporą,
Wychodzi starzec, świeci;
Pani na kształt upiora
Z krzykiem do chatki leci.
Ha! ha! zsiniałe usta,
Oczy przewraca w słup,
Drżąca, zbladła jak chusta:
„Ha! mąż, ha! trup!”

— „Niewiasto, Pan Bóg z tobą!
Co ciebie tutaj niesie?
Wieczorną, słotną dobą,
Co robisz sama w lesie?”

— „Tu za lasem, za stawem,

Błyszczą mych zamków ściany,
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.

Lato za latem bieży,
Nie masz go z bojowiska,
Ja młoda wśród młodzieży,
A droga cnoty śliska!
Nie dochowałam wiary,
Ach! biada mojej głowie!
Król srogie głosi kary;
Powrócili mężowie.

Ha! ha! mąż się nie dowie!
Oto krew! oto nóż!
Po nim już, po nim już!
Starcze: wyznałam szczerze,
Ty głoś świętymi usty,
Jakie mówić pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty?
Ach! pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moją zbrodnię
Wieczysta noc powlekła”.

„Niewiasto — rzecze stary —
Więc ci nie żal rozboju,

Ale tylko strach kary?
Idźże sobie w pokoju,
Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy Boże,
Iż co ty zrobisz skrycie,
Mąż tylko wydać może,
A mąż twój stracił życie”.

Pani z wyroku rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży nocą do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą:
„Mamo — wołają — mamo!
A gdzie został nasz tato?”
„Nieboszczyk? co? wasz tato?”
— Nie wie, co mówić na to —
„Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem”.

Czekają wieczór dzieci;
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały;
Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno,

Nie wygnać z myśli grzechu,
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,
Nigdy snu na źrenicy!
Bo często w nocnej porze,
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy:
„Dzieci, — woła — to ja to,
To ja, dzieci, wasz tato!”

Noc przeszła, zasnąć trudno;
Nie wygnać z myśli grzechu,
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu!

„Idź, Hanko, przez dziedziniec
Słyszę tętent na moście,
I kurzy się gościniec:
Czy nie jadą tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?” —

— „Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,
Rżą, rżą koniki wrone,
Ostre błyszczą szabelki,
Jadą, jadą panowie,

Nieboszczyka bratowie!” —

— „A witajże, czy zdrowa?

Witajże nam, bratowa.

Gdzie brat?” — „Nieboszczyk brat,

Już pożegnał ten świat”.

— „Kiedy?” — „Dawno, rok minął,

Umarł... na wojnie zginął.

„To kłamstwo, bądź spokojna,

Już skończyła się wojna;

Brat zdrowy i ochoczy,

Ujrzysz go na twe oczy”.

Pani ze strachu zbladła,

Zemdląca i upadła;

Oczy przewraca w słup,

Z trwogą dokoła rzuca:

„Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?”

Powoli się ocuca;

Mdląca niby z radości

I pytała u gości:

„Gdzie mąż, gdzie me kochanie,

Kiedy przede mną stanie?”

— „Powracał razem z nami,

Lecz przodem chciał pospieszyć,

Nas przyjąć z rycerzami,

I twoje łzy pocieszyć.
Dziś, jutro, pewnie będzie,
Pewnie kędyś w obłędzie
Ubite minął szlaki.
Zaczekajmy dzień jaki,
Poszlemy szukać wszędzie,
Dziś, jutro, pewnie będzie”.

Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi;
Gdy nic nie doczekali,
Z płaczem chcą jechać dalej.
Zachodzi drogę pani:
„Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży,
Wiatry, słoty i deszcze,
Wszak czekaliście dłużej,
Czekajcie trochę jeszcze”.

Czekają. Przyszła zima,
Brata niema i niema.
Czekają; myślą sobie:
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A nad nim kwiatki rosną,
A rosną tak wysoko,
Jak on leży głęboko.

I wiosnę przeczekali,

I już nie jadą dalej.

Do smaku im gospoda,

I gospodyni młoda.

Jak dwaj u niej gościli,

Tak ją dwaj polubili.

Obu nadzieja łechce,

Obadwaj zjęci trwogą,

Życ bez niej żaden nie chce,

Życ z nią obaj nie mogą.

Wreszcie, na jedno zdani,

Idą razem do pani.

— „Słuchaj, pani bratowo,

Przyjm dobrze nasze słowo:

My tu próżno siedzimy,

Brata nie zobaczymy.

Ty jeszcze jesteś młoda,

Młodości twojej szkoda,

Nie wiąż dla siebie świata,

Wybierz brata za brata”.

To rzekli i stanęli.

Gniew ich i zazdrość piecze,

Ten, to ów okiem strzeli,

Ten, to ów słówko rzecze;

Usta sine przycięli,
W ręku ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie.
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu.
Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika
Stuk stuk, stuk stuk!
Całą mu rzecz wyklada,
Pyta się, co za rada?

„Ach, jak pogodzić braci?
Chcą mojej ręki oba;
Ten i ten się podoba,
Lecz kto weźmie? kto straci?
Ja mam maleńkie dziatki,
I wioski i dostatki;
Dostatek się zmitręza,
Gdy zostałam bez męża.
Lecz ach! nie dla mnie szczęście!
Nie dla mnie już zameście!
Boża nade mną kara,
Ściga mnie nocna mara:

Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, klamka odskoczy;
Budzę się: widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa,
Ach, widzę, słyszę trupa!
Skrzyp, skrzyp, i już nad łóżem
Skrwawionym sięga nożem,
I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mnie i szczypie.
Ach! dosyć, dosyć strachu,
Nie siedzieć mnie w tym gmachu,
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zamęście!”

„Córko — rzecze jej stary
Nie masz zbrodni bez kary,
Lecz jeśli szczerza skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę:
Choć mąż zginął od roku,
Ja go wskreszę dziś jeszcze”.

— „Co, co? jak, jak? mój ojczel!
Nie czas już, ach, nie czas!
To żelazo zabójcze

Na wieki dzieli nas!
Ach znam, że warta kary,
I zniosę wszelkie kary,
Byle się pozbyć mary.
Zrzekę się mego zbioru
I pójdę do klasztoru,
I pójdę w ciemny las.
Nie, nie wskrzeszaj, mój ojczy!
Nie czas już, ach, nie czas!
To żelazo zabójcze
Na wieki dzieli nas!”

Starzec westchnął głęboko,
I łzami zalał oko,
Oblicze skrył w zasłonie,
Drżące załamał dłonie:
„Idź za mąż, póki pora,
Nie lękaj się upiora.
Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama”.

— „Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?...”
— „Najlepsza będzie droga,
Zdać się na los i Boga.

Niechajże z ranną rosą
Pójdą i kwiecica zniosą.
Niech każdy weźmie kwiecie,
I wianek tobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać, czyj jaki?
I pójdzie w kościół Boży,
I na ołtarzu złoży:
Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek”.

Pani z przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swej układa,
Nigdy w żadnej potrzebie
Nie wołać go do siebie.
I z tych układów rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży prosto do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży i staje
I staje i myśli i słucha:
Zda się, że ją ktoś goni,
I że coś szepce do niej
(Wokoło ciemność głucha):

„To ja, twój mąż, twój mąż!”

I staje i myśli i słucha;

Słucha, zrywa się, bieży,

Włos się na głowie jeży,

W tył obejrzyć się lęka,

Coś wciąż po krzakach stęka,

Echo powtarza wciąż:

„To ja, twój mąż, twój mąż!”

Lecz zbliża się niedziela,

Zbliża się czas wesela.

Zaledwie słońce wschodzi,

Wybiegają dwaj młodzi.

Pani, wśród dziewic grona

Do ślubu prowadzona,

Wystąpi wśród kościoła

I bierze pierwszy wianek,

Obnosi go dokoła:

„Oto w wieńcu lilije,

Ach! czyjeż to są, czyje?

Kto mój mąż, kto kochanek?”

Wybiega starszy brat,

Radość na licach płonie,

Skacze i klaszcze w dłonie:

„Tyś moja, mój to kwiat!

Między lilii kręgi
Uplotłem wstążek zwój:
To znak, to moje wstęgi!
To mój, to mój, to mój!”

„Kłamstwo! — drugi zawoła
Wyjdźcie tylko z kościoła,
Miejsce widzieć możecie,
Kędy rwałem to kwiecie.
Rwałem na łączce, w gaju,
Na grobie przy ruczaju,
Okażę grób i źródło:
To mój, to mój, to mój!”

Kłóć się źli młodzieńce,
Ten mówi, ten zaprzecza;
Dobyli z pochew miecza,
Wszczyna się srogi bój,
Szarpia do siebie wieńce:
„To mój, to mój, to mój!”

Wtem drzwi kościoła trzaśły
Wiatr zawiął, świece zgasły,
Wchodzi osoba w bieli:
Znany chód, znana zbroja...
Staje, wszyscy zadrzeli,
Staje, patrzy ukosem,

Podziemnym woła głosem:

„Mój wieniec i ty moja!

Kwiat na mym rwany grobie:

Mnie, księżu, stułą wiąż;

Zła żono, biada tobie!

To ja, twój mąż, twój mąż!

Źli bracia! biada obu!

Z mego rwaliście grobu,

Zawieście krwawy bój!

To ja, twój mąż, wasz brat,

Wy moi, wieniec mój,

Dalej na tamten świat!”

Wstrzęsła się cerkwi posada,

Z zrębu wysuwa się zrąb,

Sklep trzeszczy, w głąb zapada,

Cerkiew zapada w głąb.

Ziemia ją z wierzchu kryje,

Na niej rosą lilije,

A rosą tak wysoko,

Jak pan leżał głęboko.